



JÓZSEF NYKA

1924-2021



JÓZEF NYKA



NASZ TATEK, JÓZECZEK, REDAKTOR NYKA

Z dziewięćdziesięciu sześciu lat życia bez mała osiemdziesiąt wypełniła mu praca. Bo w prezencie od losu otrzymał nie tylko szeroki wachlarz zdolności, ale też i dar wyszukiwania sobie zadań. Pomysły leżyły mu się w głowie w każdym miejscu i w każdym czasie i tak zostało do ostatnich miesięcy życia.

Mam pod powiekami taki obrazek: Wczesne lata siedemdziesiąte. W mniejszym z dwóch pokoi naszego mieszkania przy ulicy Nowosieleckiej pod oknem stoi wielkie czarne biurko, a bliżej wejścia kanapa, która nocą zamienia się we wspólne łóżko moje i młodszej siostry. Długo w noc od strony biurka dobiega do naszych uszu stukot klawiszy maszyny do pisania i charakterystyczny chrzęst przekręcanego wałka. Te same dźwięki, wydobywające się z trzewi ponemieckiej Eriki, budzą nas każdego ranka, bo już od świtu w pokoju, w którym śpimy, pracuje nasz Tatek.

Tyle miał do zrobienia na każdym etapie życia! Jako podrostek, w drodze do gimnazjum, czekając na wąskotorową kolejkę, prowadził amatorskie wykopaliska wydobywając cenne przedmioty. Jego kamienny młotek budził zazdrość archeologów rozkopujących brzegi Jeziora Biskupińskiego. Pisał w liście: „Urodziłem się w Wielkopolsce,

w jądrze starej słowiańszczyzny, z pełnymi urn grobami skrzynkowymi na własnych polach. Prehistoria stosowana była moją pierwszą wielką pasją i pierwszą manią kolekcjonerską.”

Rzucony podczas wojny na Podhale, jak gąbka chłonał kulturę i gwarę góralską. Odkrywał dla siebie Gorce i Tatry. Przeżywał pierwsze emocje związane ze wspinaniem. Rozpoczął ekstremalnie – od zejścia z Giewontu „na wprost” do Zakopanego. Opatrzność czuwała, gdy obaj z bratem Jankiem zsuwali się po stromych trawkach, w kominkach podając sobie wypchaną wiktuałami skórzaną teczkę. Na Podhalu zaczął fotografować przy pomocy skonstruowanego własnoręcznie aparatu. Niemieccy zwierzchnicy z tartaku w Czarnym Dunajcu szybko docenili zdolności przesiedleńca z Pałuk, powierzali mu coraz poważniejsze zadania i podsuwali książki. Lata wojny wyposażyły go w wiele umiejętności, w tym w wykorzystywaną przez całe dalsze życie perfekcyjną znajomość niemieckiego. Kilka innych języków opanował później. Okupacyjne przeżycia skrupulatnie spisywał. Najcenniejsze partie jego dziennika powstały podczas półrocznej służby w partyzanckim leśnym oddziale.

Po wojnie, w Łysininie, była znowu konspiracja w gronie towarzyszy z partyzantki i nadrabianie zaległości w edukacji szkolnej. Potem studia w zrujnowanej Warszawie. Niemilosiernie zapluskwiony pokoik bez okna w kamienicy pod adresem: Ludwiki 1 m. 5. Skromne lokum na czas studiów? Nie, jedyne mieszkanie przez 16 lat! Bo Józef Nyka i wtedy, i później, był tak skupiony na nauce i pracy, że nie odczuwał żadnej potrzeby polepszenia własnego bytu. Do

przeprowadzki na Nowosielecką dojrzał dopiero, gdy trzeba było sprowadzić ze Śląska do Warszawy żonę i dzieci. Gdyby nie to niechybnie dużo dłużej mieszkałby w mniszej celi u Trzczańskich. Młodzieńcze lata w Warszawie były chłodne i głodne, ale wesołe. Do stolicy ściągnęli przyjaciele ze znińskiej paczki. Kaju Piwkowski, przyszły twórca wojażującego po całym świecie zespołu muzyki dawnej *Fistulatores et Tubicinatores Varsoviensis*, studiował w warszawskim Konserwatorium. Tadeusz Małachowski był świetnie zapowiadającym się studentem Akademii Sztuk Pięknych. Dziewczyny – studiująca dziennikarstwo Danka Uhlig, później wybitna germanistka, twórczyni słowników i podręczników, Grażyna Niemczynow, córka znińskiego lekarza, potem autorka publikacji z zakresu geologii. Do tego grona stopniowo dołączali znajomi Józefa ze studiów i współtowarzysze górskich wypraw. Góry stawały się coraz ważniejsze, wypełniały coraz większą część życia.

Późne lata pięćdziesiąte przyniosły sukcesy wspinaczkowe w Tatrach, wczesne lata sześćdziesiąte – wielkie przejścia w Dolomitach. Od wiosny 1952 była praca na własny rachunek, coraz mocniej zogniskowana wokół tematyki krajoznawczej i górskiej – artykuły, notatki, audycje radiowe, książki. Przewodniki, które stały się znakiem rozpoznawczym na resztę życia. Redakcja „Taternika”, wzorowo prowadzona i dająca poczucie jakiejś takiej stabilizacji. Korespondencje rozsyłane do redakcji kilkudziesięciu magazynów alpinistycznych – od Japonii i Korei po USA i Chile. Działalność organizacyjna. Tysiące przyjętych do wykonania zadań. Coraz mocniejsza pozycja eksperta od spraw światowego alpinizmu i kronikarza polskich dokonań wysokogórskich.

Rozkochany w zwierzętach, miał też niezwykłą łatwość nawiązywania trwałych przyjaźni. Spotkania ze znajomymi były jedną z niewielu aktywności, dla których bez większego żalu odrywał się od biurka. Na każdą prośbę o pomoc reagował bez zwłoki, odkładając na bok własne sprawy. Pozostanie tajemnicą ile artykułów, książek, prac naukowych (od magisteriów po habilitacje), zostało wygładzonych jego ręką, lub nawet całkowicie przez niego napisanych, jak pewien doktorat z weterynarii o chorobach owiec. Jedną z najważniejszych form podtrzymywania przyjaźni była pisemna wymiana myśli. Każdego dnia przez ręce pracowników poczty przechodziły koperty kryjące wielostronicowe listy pisane na cienkich przebitkach. Listy powstające później, już z użyciem komputera, nadal były utrzymane w staroświeckiej stylistyce, nie przystającej do epoki e-maili i SMS-ów.

Krąg jego przyjaciół to mozaika typów i postaci. Ludzie dużo starsi, z roczników poprzedzających I wojnę, albo młodsi o wiele dekad. Mówiący różnymi językami – dosłownie i w przenośni. Genowefa Trzcńska z ulicy Ludwika, dla nas Ciocia Genia, prosta mieszkanka Woli. Do swojej śmierci pozostała członkiem rodziny Nyków, wcześniej zaś Józef wrósł w rodzinę Trzczańskich. Irena Pawłowska-Szydłowska, rocznik 1892. Pionierka kobiecego taternictwa – adresatka kilkudziesięciu listów. Stanisława Czech-Walczakowa, rocznik 1903, siostra Bronka Czecha. Adam Nowak, Halina i Antoni Rząsowie, oboje Zawadowie, Jano Sawicki, Ala i Wacek Świeżyńscy. Sąsiedzi: Andrzej Skłodowski na Powiślu i Maciek Popko na Bielanych. Wojtek Świącicki, Wiesław A. Wójcik, Marek Maluda. Adams H. Carter – wieloletni redaktor „American Alpine

Journal”, bohater II wojny, słowem amerykański odpowiednik Nyki. Wspólnota losów i zainteresowań sprawiła, że rozumieli się niemal bez słów. Słowak Arno Puškáš, Niemiec Toni Hiebeler. Druhowie ze Żnina i z partyzantki. Krąg partnerów wspinaczkowych i ludzi z zarządów KW i PZA z Hanią Wiktorowską i Andrzejem Paczkowskim na czele. Rozsiani po świecie czytelnicy „Głosu Seniora”. I sam „Głos Seniora” – unikatowe przedsięwzięcie, prywatny organ prasowy, wydawany miesiąc w miesiąc przez 35 lat, ogromnym nakładem sił. Wyrósł z potrzeby regularnego docierania do bliskich sercu ludzi z serwisem informacyjnym. Był wyrafinowaną formą listu do wielu adresatów.

Człowiek dożywający sędziwego wieku, posiadający liczne grono przyjaciół i znajomych, nieustannie doświadcza strat. A co, jeśli każdego z bliskich zmarłych próbuje pożegnać? Józef Nyka zamiast płakać pisał wspomnienia. Tę misję wypełniał przez sześćdziesiąt lat. 25 lutego 2012 pisał do Barbary Morawskiej-Nowak: „Basiu Kochana, ciężki jest ten luty. Do GS [„Głosu Seniora”] napisałem wspomnienie o Heniu Mierzejewskim, ale wymienilem je na Józka Uznańskiego. W tym czasie przyszła wiadomość o Joasi Wolf-Szczerbowej, no a dziś ta niewiarygodna: Toczka. Wiedzieliśmy, że jest w szpitalu, że po operacji, ale sprawy miały iść ku lepszemu. A tu masz! Co się dzieje? I to jakie roczniki?” Pożegnania ukazywały się na łamach „Taternika”, potem nekrologia przeniosła się do „Głosu Seniora”. Niektórzy z przyjaciół otrzymali duże biogramy, a nawet własne zeszyty w serii „Górskiej Biblioteczki Historycznej”. Większe wspomnienia zawierały nie tylko staranne zestawienia górskich dokonań, ale także zbierane i weryfikowane dane dotyczące kariery zawodowej czy życia rodzinnego.

Zawsze było też kilka zupełnie nieszampowych zdań, płynących z głębi serca.

Będąc długoletnim Charonem środowiska ludzi gór, sam dla siebie nie przygotował pożegnania. Mimo to jednak w dalszej części tej publikacji opowie sam o sobie, dzięki połączeniu suchego „Szkieletu do życiorysu”, który pozostawił w komputerze, z autobiograficznymi obrazkami, wyjętymi z listów i bloków wspomnień. Ten tekst rzecz jasna nie pretenduje do roli pełnej panoramy dokonań naszego Tatka.



SAM O SOBIE



SKROMNA KOLEBKA

Urodziłem się 5 grudnia 1924 w Łysininie, pow. żnińskiego, jako pierwszy syn rolnika Stefana Nyki i Marii z domu Maciejewskiej.

[Z listu do profesora Ryszarda Schramma] Trudno nie być wysokim drzewem, kiedy się z takiej gleby i z takich korzeni wyrosło, jak Ty. Myślę o swojej skromnej kolebce. Zagroda weprana w jeziora i lasy daleko za wsią, do kościoła a potem i do szkoły 3 km na piechotę (do kościoła czasem bryczką). Dom nie był, Boże broń, zacofany: rodzice oboje co prawda tylko po pruskim powszechniaku, ale biegle z dwoma językami, a Ojciec po froncie francuskim, powstaniu wielkopolskim (jego odznaczenia wiszą w muzeum żnińskim) i po wojnie bolszewickiej, za którą dostał kawał ziemi na Polesiu. Prenumerowało się u nas nie tylko „Gazetę Wielkopolską”, „Ilustrację Polską”, „Przewodnik Katolicki”, „Pałuczanina”, ale nawet wychodzące we Lwowie i raczej nudne „Orlęta”. Wszystkie tygodniki były zbierane i zszywane w roczniki, część – uszanowana przez Niemca – przechowywała na strychu nawet wojnę.

Przed wojną ukończyłem 6 klas szkoły podstawowej, cztery w Łysininie (1931–1935) i dwie klasy (1935–1937) w Gąsawie. Potem dwie klasy Prywatnego Gimnazjum im. Braci Śniadeckich w Żninie (1937–1939).

Mam w pamięci pierwszy wymarsz do łysinińskiej szkoły. Nowa torba na plecy, drewniany piórn timer, ołówki,

gumka, obsadka i stalówka. Ojciec odprowadził mnie do końca naszej drogi, pod gruszką podniósł dorodną gruchę winiówkę i włożył mi do torby, co mnie wzruszyło do płaczu. Szkoła była – jest jeszcze dzisiaj – parterowym domem z cegły i pod dachówką, w połowie mieszkał skromnie nauczyciel, Henryk Kapturczak, zaś druga połowa była izbą lekcyjną – jedną jedyną i wcale nie dużą. Drewniane sanitariaty były na podwórku. Szkoła miała cztery oddziały, dziś byłyby to klasy. W tej jednej izbie lekcyjnej uczyły się one w dwóch turach: III i IV przed południem oraz I i II po południu. (...) Mam w oczach moment, kiedy nauczyciel pan



Kapturczak – plecami oparty o kaflowy piec – zwrócił się do mnie z poleceniem, żebym poszedł do domu i zapytał rodziców, czy chcą mnie uczyć dalej, co oznaczało przejście do klas V i VI do odległej o 3 km i obcej Gąsawy. Przeraziło mnie to, ale rodzice mieli taki zamiar i jako jedyny z Łysina ruszyłem w świat dalszej nauki. Do Gąsawy (3 km) chodziło się „na piechty” – najpierw polną Chomiązką Drogą, potem brukiem, a dalej szosą między jeziorami Gąsawskim i Godawskim, zimą zaś wprost przez zamrożone Jezioro Gąsawskie.

[Z tekstu wypracowania napisanego dla sąsiadki, Justynki Goraj] Wojna wisiała w powietrzu. Całe wakacje spędziliśmy przy robotach ziemnych: kopaniu kilometrów okopów, budowaniu bunkrów, zapór na jeziorach. Powstawała linia obronna Gąsawki, nazwana tak od rzeczki łączącej długi szereg jezior, które miały zostać spiętrzone i stworzyć ciąg przeszkód wodnych. W końcu lata linia była z grubsza gotowa. 1 września wybuchła wojna. Zapisalem wtedy kulfonami pierwszą kartkę swojego wojennego pamiętnika. Jest tam o przemówieniu Prezydenta Ignacego



Mościckiego, ale głównie o tym, że nocna burza przewróciła wielką topolę koło naszej zagrody. Dla nas dzieci była też i radosna wiadomość: nie trzeba było iść do szkoły. Późną jesienią Niemcy zaczęli wysiedlać inteligencję i zamożniejszych rolników. Przeworny Ojciec przygotował pakunki do zabrania, poobszywane w lniane płótno: żywność, ubranie. Na każdym napisane było imię jednego z nas. Zima była bardzo ciężka i śnieżna. W stodole mieliśmy ukryte radio na baterię – wieczorami przynosiliśmy je do domu, gdzie schodzili się sąsiedzi, by posłuchać raportów z wojny rosyjsko-fińskiej. W lutym stało się: przyszli Niemcy i wy-

rzucili nas, tak jak staliśmy. Każdy członek rodziny powędrował ze swoim pakunkiem. Po paru dniach obozu w żnińskiej szkole, gdzie Niemcy zabrali nam część rzeczy, załadowani w długi pociąg, jechaliśmy przez śniegi w nieznaną. Na korytarzu wagonu wisiała niemiecka mapa kolejowa, na której zaznaczaliśmy kolejne mijane stacje. Wpisywałem je do swojego małego kajeciku. Droga wiodła na południe. Los uśmiechnął się do nas: wywieziono nas w góry. Życie było tam trudne, okolice biedne, ale ludzie życzliwi i weseli.





PODHALAŃSKIE SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU

W początku lutego 1940 zostałem wysiedlony na Podhale. Wraz z trójką rodzeństwa i rodzicami trafiłem do Ludźmierza w powiecie nowotarskim, a 20 września 1940 przenieśliśmy się do Czarnego Dunajca. Od wiosny 1940 do sierpnia 1944 pracowałem w Czarnym Dunajcu w tamtejszym niemieckim zakładzie zbrojeniowym, tartaku firmy Hobag, najpierw jako robotnik, potem jako pomoc biurowa i chłopak do wszystkiego. Zlecano mi wszelkie prace łącznie z księgowością i projektowaniem baraków.

[Z listu do Antoniego Janika]: Toniku, moje wojenne wspomnienia... Ja mam tyle do napisania, że nie wiem za co się wpierv łapać. Jeden z przykładów. Poza mną nikt nie napisze o niemieckim przemyśle zbrojeniowym na Podhalu. (...) Hobag to były cztery wielkie zakłady produkcyjne: dwa w Zakopanem, jeden w Nowym Targu i nasz w Czarnym Dunajcu. W sumie było to ok. 1500 polskich pracowników, do tego załogi niemieckie (topniejące w miarę powoływania na front) i do jesieni r. 1943 blisko 100-osobowe obozy żydowskie (każdy zakład miał taki własny obóz). Wszystkie zakłady rąbały lasy w Tatrach. Produkowaliśmy hangary lotnicze (do 50 m światła w szczycie), baraki dla załóg, a od roku 1943 drewniane mosty i domki dla zbombardowanych.



77

Gdzieś w polone dol. Chochotowskiej okoliczności
 i tuż i na kółkach górnymach uczyli się, drogi
 przez górę całą nas poprowadziliśmy nawiązać do
 bliźniemu ok. górnym 22 do miłego pułkownika
 ma do stronnika w Polonie Starorobocianickiej.
 Pod względem obywateli i polowania jest tu myśli-
 na przetransportowa. Stronnika niewielkie, samie-
 rżące, jakas rodzinna i dzieci. Mają oni i ichy
 nam odzyskali jedną. Dolny stawać z ich stron
 wprostie Polonie. Oni, Starorobocianicki, Fry-
 derykianicki czynić i ty naszym od wrochu
 prądnie i zachodu prawie niedostępny. Przech-
 do mi, tylko jedna droga od połowy. Hoda-
 las pod naszym a co widać traba! Nad nie-
 mowem pokamie nam jakiś zakopane, który
 jest podobno najlepszym i polskich naciąg
 kowie na turki. Było ich 3, a nie ich kontaty
 trudno było wchodzić na ciemnych kamieniach.
 Były one na odległości i śniegu trawie i niedostęp-
 nych dla smiertelnych miejscach.
 23.12.41. Sobota. Obudziłem się zamarzniętym i
 zboleli bolimy spać na górze, podłoch. Zaraz
 rano przyniósł Romanie na patrol. Wierząc,
 oni gdzieś w Chochotowskiej. Ma, gdzie to ora-
 li pod Niemców rozbici. Podłoch. Dółek i Sądów
 poci do mi i oddzielił. O 11-ty, przedtem
 i Pociem, zakopanie u, cywili na ogień
 na gubatorzy. Tam mamy do otobierania
 hotel turystyczny. Bliźniemy myśko i pistoletami
 i kółkami okrzycie 4 górnym. I pierwszym
 miłosy jini na gubatorzy napotkaliśmy
 i nie niemieckiego oficera i pistoletem
 tylko. Było to cudna okazja do rozbicia
 i rozbicia - ale co nie można było poci

Podlegaliśmy Rüstungskommando Krakau, sekcji Luftwaffe.
 Zachowała się w moich papierach legitymacja z niemiecką
 „gapą” i napisem po polsku i po niemiecku „Osobą
 właściciela legitymacji nie wolno rozporządzać w żadnych
 innych celach bez zgody Rüstungskommando w Krakowie”.
 Ten niemiecki dokument stanowił dla nas zabezpieczenie
 podczas wycieczek na Podhale i w Tatrach, które podejmo-
 waliśmy od lata 1940 roku.

Byłem w konspiracji od roku 1942, zaprzysiężony od
 Gwiazdki 1943. W latach 1944–45 walczyłem w kompanii
 „Lasa”, batalion dowodzony przez kapitana Juliana
 Zapalę, „Lamparta”, I Pułku Strzelców Podhalańskich AK.
 Przyjąłem pseudonim „Szpis”. Uczestniczyłem we wszyst-
 kich ważniejszych bitwach i akcjach tej jednostki. Zostałem
 zdemobilizowany w stopniu starszego strzelca, stopień
 sierżanta otrzymałem przy ujawnieniu.

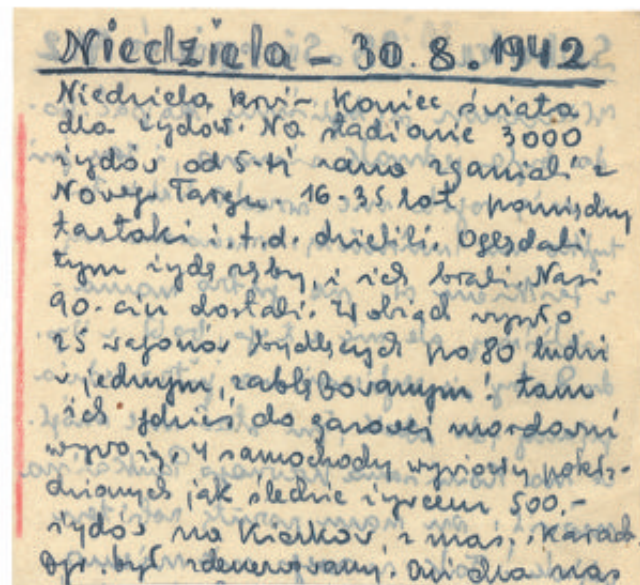
W roku 1941 założyliśmy młodzieżową grupę
 konspiracyjną, która rok później weszła w skład komórki
 „Hobag”. Kierował nią Kazimierz Karge „Biały”. W Boże
 Narodzenie 1943 złożyliśmy przysięgę. Prowadzone było
 szkolenie wojskowe i sanitarne, m.in. w Tatrach. W trój-
 kowych zespołach rozbrajaliśmy patrole niemieckiej straży
 granicznej, zdobywając broń. Akcją sabotażową było
 spalenie baraku z całą dokumentacją wyrębowa lasów
 w Tatrach. W lipcu 1944 w ramach akcji „Burza” wezwano
 nasz dobrze „ostrzelany” oddział do służby partyzanckiej.
 Jednej nocy z zakładu zbrojeniowego zniknęło 30 praco-
 wników, a dyrektor Georg Sacher woził skrzynie wódki
 i wyciągał z gestapo aresztowanych ojców, w tym mojego
 staruszka. My w długim marszu poszliśmy w masyw

Turbacza, gdzie wcielono nas do oddziału kpt „Lamparta”, Juliana Zapalę, niebawem przekształconego w IV Batalion I PSP. W naszym plutonie osobną drużynę stanowiliśmy my, Pałuczanie: bracia Kazimierz i Franciszek Kargowie z Gąsawy, Józef i Jan Nykowie z Łysinina, Franciszek i Kazimierz Chelminiakowie z Godaw oraz Antoni Domała i Andrzej Goc ze Żnina. Byliśmy w lesie bite pół roku, z udziałem w niemal wszystkich walkach batalionu „Lamparta”. Służba była ciężka. Sypianie pod gołym niebem, ciągle marsze, atakowanie Niemców i obrona przed ich atakami. Nie przelewało się z jedzeniem, były dni wręcz głodne, gdy przyszły jesienne deszcze i śniegi zrobiło się jeszcze ciężiej.

[Z listu do A. Janika, 15 VIII 2003] Posyłam Ci, Kochany Toni, tym razem ciekawostkę: to jest 6 kartek z mojego wojennego dziennika, opis dwóch dni „wojny ochotnickiej” w październiku 1944. Pisałem to w zasadzie codziennie – ołówkiem, na kolanie, na patrolu, przy ognisku, przy świeczce. Ale zdarzały się też parodniowe zaległości. (...) Jak widzisz, nie ma tu bohaterstwa – przeciwnie, jest uchylanie łba przed kulami i ucieczki, ucieczki. To prawda, że w ciągu pierwszych 3 dni „wojny ochotnickiej” inicjatywa była w naszych rękach, ale 12 i 13 października dostaliśmy się w niemiecki kocioł i było tak, jak tu jest zrelacjonowane. Dlatego moi towarzysze, już niestety nieżyjący, niechętnie widzieliby to w druku.

W lutym 1945 wróciliśmy do Łysinina. Od wiosny działałem w strukturach WIN. W trybie przyspieszonym w l. 1945–47 zrobiłem gimnazjum (III i IV) i liceum (I i II).

Po powrocie z wysiedlenia, nasza pałucka grupa partyzancka skupiona nadal wokół por. „Białego”, kontynuowała działalność konspiracyjną w rejonie Żnina. Rozpracowana przez UB, musiała się ujawnić, co nastąpiło jesienią 1945 roku. Komisja Weryfikacyjna awansowała mnie do stopnia sierżanta i ponownie odznaczyła Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Na moim świstku ujawnienia – dziś to dokument historyczny – jest odręczna akceptacja pułkownika Radosława. Nasza grupa działała jeszcze, aż do aresztowania „Białego”.



Niedziela - 30.8.1942
 Niedziela, koniec świata
 dla żydów. Na naciąganie 3000
 żydów od 5-ki roku 2 ganiał z
 Nowego Targu. 16-35 lat. Konspiracyjny
 kartaki i t.d. drżeli. Oglądali
 tym żydów, i ich brali. Na
 90. an dostali. Wolieli umrzeć
 25. rejonów żydów, żydów 80 ludzi
 w jednym, zabił 3000. Tam
 ich. Jedni do garści mordowni
 wpro. 4. namochody wypięty. Wokół
 dronów jak ślednie żydów 500.-
 żydów na Kichów, z mas. Karad.
 Opr. był naciągany. Oni dla nas



Z KUFERKIEM DO WARSZAWY

W roku 1947 przyjechałem do Warszawy z zamiarem podjęcia studiów. Zapisalem się do Wyższej Szkoły Dziennikarskiej, którą już w początku 1948 roku włączono do Akademii Nauk Politycznych. W latach 1948–1950 studiowałem równolegle w Studium Języków i Zagadnień Wschodnich Instytutu Spraw Międzynarodowych. Wybrałem tam naukę języka japońskiego, bo myślałem o pracy w dyplomacji.

Samo przyjęcie mnie na listę studentów elitarnej szkoły dziennikarskiej było zaskakujące – ujawniony żołnierz AK, członek WIN, syn kulaka, z poparciem od... Kółka Rolniczego w Gąsawie. Wynika z tego, że polityczna obręcz wtedy jeszcze nie zaciskała się tak mocno wokół młodych ludzi. Tematem pracy egzaminacyjnej była wprawdzie rola prasy w państwie czy społeczeństwie socjalistycznym, ale ustny egzamin prowadzili wybitni przedwojenni dziennikarze – dość już wiekowi profesorowie Wincenty Trzebiński i Józef Wasowski (ojciec Jerzego Wasowskiego). Pamiętam, że Wasowski zobaczywszy na moim świadectwie „b. dobrze” z matematyki powiedział, że dla dziennikarza ten stopień jest ważniejszy, niż język polski. Faktem jest, że ja sam, zdając maturę, szykowałem się do studiów politechnicznych i marzyłem o karierze konstruktora aparatów fotograficznych. Do zmiany planów

namówili mnie w ostatniej chwili znińscy nauczyciele.

W Warszawie przez 16 lat mieszkalem „na stacji” na Woli w kamienicy przy ulicy Ludwika, najpierw u państwa Łasiców, którzy mieli tylko jedno pomieszczenie dla swojej rodziny, a w nim byli w stanie pomieścić jeszcze nawet kilku sublokatorów. Wkrótce jednak wzięli mnie do siebie sąsiedzi Łasiców – państwo Trzcinińscy. Pani Genowefie chodziło przede wszystkim o dobry wpływ na jej jedynaka – Genia. Zająłem pomieszczenie bez okna – rodzaj komórki. Czesio Momatiuk mawiał, że sufit jest tak nisko, że w pokoju można jeść tylko naleśniki. Pan Trzciniński – zresztą tak jak Łasica – utrzymywał rodzinę z szabru.





Od 15 VIII 1949 do 31 V 1952 pracowałem w Gabinetzie Prezesa Centralnego Urzędu Szkolenia Zawodowego. Do 31 grudnia 1950 miałem tam stanowisko sekretarza redakcji dwutygodnika nauczycielskiego Biuletynu Informacyjnego Szkolnictwa Zawodowego, potem umieszczono mnie w referacie wydawnictw, propagandy i informacji. Państwowe Wydawnictwo Szkolnictwa Zawodowego wydało wówczas moją broszurę „Spotkamy się w SPZ”, czyli w Szkołach Przynależności Zawodowej. Graficznie obrabiałem też broszury „Woła was węgiel” i „Będę pracowała w przemyśle”. Po niespodziewanym zwolnieniu z CUSZ nie mogłem znaleźć pracy i utrzymywałem się wyłącznie z pracy autorskiej i graficznej (kartografia, grafika książkowa).

O naszym prezesie, Januszu Zarzyckim, mówiono: towarzysz minister, bo CUSZ był niemalże ministerstwem. Byłem w tej instytucji jedynym pracownikiem niezrzeszonym (partia, ZWM), ale potrzebnym, bo też jedynym fachowym. Toteż zaskoczyło mnie w pewnym momencie pismo z kadr z wypowiedzeniem pracy. Przyszło zupełnie znienacka. Nie wiem, jak to się miało w czasie, w każdym razie później przyszedł po mnie facet, o którym było wiadomo, że ma powiązania z UB. W latach 1952–53 miałem rok szamotaniny z próbującymi mnie zwerbować agentami. W przesłuchaniach nie wracali wcale do spraw okupacyjnych, ale do roku 1945. Mam zielony brulion „1953”, gdzie są zapiski z późniejszych „spotkań”: styczeń, luty, marzec 1953, w środy o godzinie 10, zawsze w plenerze. Ci faceci z bezpieki byli wszyscy jednakowo ubrani. Mieli jakieś elementy stroju wojskowego: spodnie, brązowe buty, koszula, krawat. Charakterystyczne były ciemnobrązowe

sukienne płaszcze. W końcu uznali, że nie zrobią ze mnie współpracownika i dali za wygraną.

Od roku 1952 wspinałem się w Tatrach, głównie towarzystwie braci Janusza i Pawła Voglów, którzy nie byli związani z Klubem Wysokogórskim. Do KW wprowadził mnie dopiero Czesław Momatiuk, on też był liderem naszej warszawskiej grupy „dębnistów”.

Warszawa leży daleko od gór wysokich, nie ma też w pobliżu terenów skałkowych. Nic dziwnego, że jako teren treningowy odkryte zostały drzewa, przede wszystkim sędziwe dęby w Lesie Bielańskim. Podobno trenowali na nich już taternicy międzywojenni, m.in. Adam Karpiński. W latach powojennych dęby były odwiedzane sporadycznie przez członków KW. Do Lasu Bielańskiego przylegał obszar AWF, kilkanaście wielkich drzew objętych było parkanami uczelni. W r. 1958 studia na AWF podjął Czesław Momatiuk, który z kilkorgiem przyjaciół sformował grupę treningową, w której skład wchodził Danuta Topczewska „Toczka”, Bernard Uchmański, Józef Nyka a także studenci AWF Marian (Rysiek) Sowa i Edward Walusiak. Grupa ta spotykała się regularnie dwa razy w tygodniu – także w zimie – a zajęcia obejmowały nie tylko wspinanie ale i treningi ogólnorozwojowe z długimi biegami („truchdami”) i ćwiczeniami gimnastycznymi. Do tego trzonu często dołączali się, szczególnie w ładne niedziele, inni taternicy warszawscy, m.in. Adam Szurek, Andrzej Paczkowski, Halina Krüger, Janusz Onyszkiewicz, Tomasz Łubieński, Tomasz Kreczmar, Krzysztof Bończa-Tomaszewski, Wańka Zacharzewski.





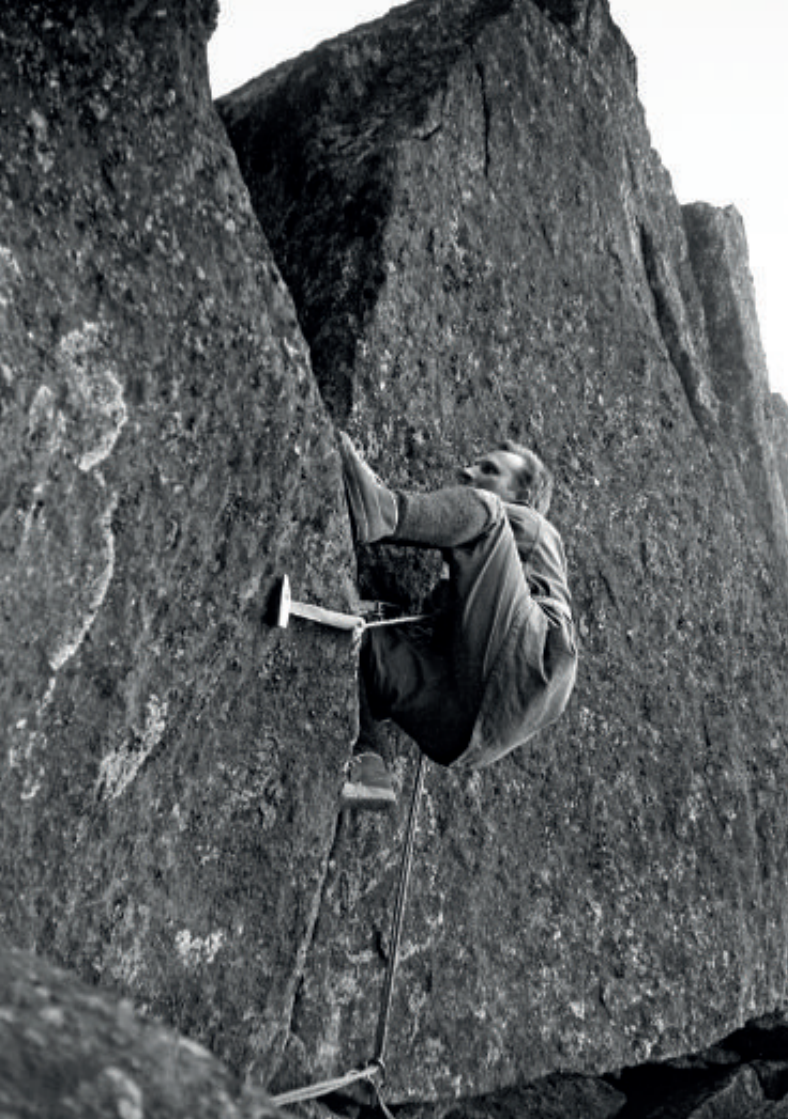
BO PRÓCZ GÓR SĄ TYLKO GÓRY

Do Klubu Wysokogórskiego zapisałem się dopiero w roku 1960. Ale od roku 1958 należałem do grona liczących się wspinaczy w Tatrach. Poprowadziłem kilkanaście nowych trudnych dróg, m.in. lewym filarem wschodniej ściany Rysów, wschodnią ścianą Młynarczyka, północno-wschodnią ścianą Małego Młynarza i direttissimę wschodniej ściany Mniszka. Mam też na koncie pierwsze przejścia zimowe: północnej ściany Świstowej Czuby i drogi Sokołowskiego na wschodniej ścianie Mięgoszowieckiego Szczytu. Wspinałem się między innymi z Adamem Szurkiem, Czesławem Momatiukiem, Maciejem Popką, Tadeuszem Łaukajtysem. Wiązałem się też liną z Małgorzatą Surdel, z którą w maju 1961 roku w podhalańskim Grywałdzie zawarłem związek małżeński.

[Z wywiadu Ziemowita J. Wirskiego (14 II 1992), „Góry” 3/1992] Zawsze miałem świetnych partnerów – „Moma”, Adaś Szurek, Maciek Popko. Na początku zrobiłem szereg dróg z Benkiem Uchmańskim. Były też nowe drogi np. odkrycie Czuby nad Żabimi Wrótkami – to była nasza słodka tajemnica. Ważny moment dla mnie stanowiło poznanie francuskiego skałolaza – Claude'a Boulvarda – wspinałem się z nim przez dwa tygodnie i podpatrzyłem u niego parę nowinek w Polsce wówczas nie znanych. (...) Adam [Szurek] był świetnym skałolazem i wspinanie z nim

to był bardzo znaczący moment, właściwie przełom. Poszliśmy na robienie nowych dróg. Wtedy nie było to popularne, natomiast były osoby, które uważały, że mają monopol na nowe drogi. Pamiętam, że gdy zrobiliśmy wschodni filar Rysów, drogi na Młynarczyku i Małym Młynarzu, wzbudziło to niechętnie uwagi w pewnych kręgach – że co to za formacje, że wszystko co miało jakiś sens zostało już zrobione itp. Praktykowaliśmy już wtedy na skromną skalę przejścia łańcuchowe, a także „odhaczenia”. Z Czesiem Momatiukiem dwa razy próbowaliśmy ukłasyścić trawers na Stanisławskim; dopiero przy moim trzecim przejściu Łapińskiego na Kazalnicy (ładne drogi lubilem powtarzać) udało mi się przejść w pełni free, to było w r. 1958. Zaczęło się też ustanawianie rekordów czasu. Z Momą zrobiliśmy całość Filara Mięgoszowieckiego w zimie w 10 czy 11 godzin, w raczej ostrych warunkach. Z Szurkiem przeszliśmy Łapińskiego na Mnichu, od samego dołu, w 2 godziny 15 minut. Czas na drodze Długosza, na Kazalnicy zredukowaliśmy do 5 godzin. Dziś to może śmieszne rekordy, ale wtedy dobry czas na „lewej” Kazalnicy wynosił 12-15 godzin. Takim rekordem było też dla nas przebiegnięcie Hokejki w 2.45 godziny. Weincziller jeszcze dwa lata temu na festiwalu w Katowicach pokazywał mnie młodemu Słowakom „to ten, który w 60 roku zrobił Hokejkę w 2.45 od dołu, nie od krzyża!” Weincziller był świadkiem tego naszego przejścia. Dopingował nas. Krzyczał: „To fantastický výkon”.

W latach 1962–1965 trzykrotnie byłem kierownikiem obozów wspinaczkowych w Dolomitach. Pierwsze dwa odbyły w Cortinie i trzeci w masywie Schiary. Przeszedłem w tym czasie klasyczne drogi Dolomitów: drogę Solda-



Conforto na południowo-zachodniej ścianie Marmolady, drogę Cassina na północnej ścianie Cima Ovest di Lavaredo, direttissimę niemiecką na północnej ścianie Cima Grande di Lavaredo, diretissimę szwajcarsko-włoską na Cima Ovest di Lavaredo, drogę Solledera na północno-zachodniej ścianie Civetty. Mój życiowy sukces stanowiło jednak wytyczenie nowej drogi przez Gran Diedro na północnej ścianie Schiary.

Monte Schiara (2563 m) to wspaniały maszyw z cudownym widokiem ze szczytu. To tutaj w dniach 20–23 sierpnia 1965 rozegrała się przygoda mojego życia. Weszliśmy w północną ścianę Schiary dwoma zespołami: Józef Nyka i Jacek Poręba oraz Tadeusz Łaukajtys i Jan Junger. Przed nami były wielkie trudności, ale realnym niebezpieczeństwem okazała się być także nocna burza, która zatrzymała nas 22 sierpnia 50 metrów przed końcem trudności. Cudem udało nam się przetrwać w kominie, choć woda strumieniami lała się na nasze głowy. Dzień wcześniej kluczowe miejsce, 10 metrów bardzo ryzykownej wspinaczki (wyciąg zmurszałych przewieszek), pokonał Janek Junger, a my za nim. Na górze czekały na nas dziewczyny – moja żona Małgosia i jej kuzynka, Hania Utnik, które straszliwą burzę przeczekiwały w schronie, przekonane, że już nas nie zobaczą wśród żywych. Później, w Belluno, wydano na naszą cześć bankiet, a moją prawicę ścisnął mer miasteczka. O przejściu szeroko rozpiswały się włoskie media. Trudności naszej drogi sprawiły, że do dziś jest uważana za najtrudniejszą drogę południowych partii Dolomitów. Jeszcze niedawno miała tylko jedno powtórzenie – młodzi Amerykanie po zakończeniu wspinaczki powiedzieli podobno: Nigdy więcej!





DZIENNIKARZ, AUTOR, REDAKTOR

Moje zainteresowanie górami wcześniej przeniosło się na pole zawodowe. Już od roku 1949 uprawiałem publicystykę na różnorodne tematy związane z krajoznawstwem, taternictwem i alpinizmem, podejmując współpracę z pismami takimi jak „Turysta”, „Poznaj Świat”, „Poznaj swój kraj”, „Wierchy”, „Przyroda Polska”, „Krásy Slovenska”, a także dodatek turystyczny do „Słowa Powszechnego” „Cztery Strony Polski”. W latach 1982–1991 byłem redaktorem i głównym autorem działu „Spacerkiem po skale” w czasopiśmie „Gościniec”.

Zagłędając do moich starych teczek przypominałem sobie, że od wiosny 1958 przez kilka lat współpracowałem z Polskim Radiem, dla którego robiłem popularne audycje krajoznawcze dla dzieci, z upływem lat powtarzane w ramach związanego z nauką szkolną „cyklu audycji geograficzno-turystycznych o różnych zakątkach Polski”. Nie pamiętam już tematów, było coś z Gór Świętokrzyskich, Puszcza Kampinoska, moje rodzinne Pałuki, no i oczywiście Gorce, Pieniny, Tatry.

W początku lat pięćdziesiątych podpisałem pierwsze umowy wydawnicze i rozpocząłem pracę autorską. Najpierw ukazał się przewodnik „Żelazowa Wola” (1954, II wydanie rozszerzone 1960), w roku 1954 w księgarniach

pojawiała się moja monografia „Dolina Pięciu Stawów Polskich”, a 2 lata później „Dolina Rybiego Potoku”. W międzyczasie wyszedł drukiem przewodniczek, którego byłem współautorem – „Podhalańskim Szlakiem Wolnościowym” (1955). Potem zabrałem się za pisanie przewodników górskich: „Gorce” (1959, 1965, 1974), „Pieniny” (1963, do dziś XIII wydań), „Szczawnica-Krościenko i okolice” (1965, 1973, 1979), „Tatry Polskie” (1969, do dziś XXII wydania), „Tatry” (1972, 1994), „Die Polnische Tatra” (1976), „Tatry Słowackie” (1995, do dziś XI wydań). W latach 1968–69 ukazały się albumy: „W Pieninach”, „W Gorcach”, „W Polskich Tatrach” (w kilku wersjach językowych), a w 1976 książka „Alpinizm – wszystko o...”. Byłem autorem koncepcji i redaktorem zbioru reportaży „Burza nad Alpami” (1958, 1959) i współredaktorem tomu „Kunyang Chhish zdobyty” (1973, wydanie niemieckie – 1977).

Dlaczego przewodniki? Właściwie zdecydował przypadek. Mój serdeczny przyjaciel Adam Nowak [posługujący się autorskim pseudonimem Adam Chowański], podjął pracę w wydawnictwie krajoznawczym „Kraj”, które potem przeistoczyło się w „Sport i Turystykę”. On wciągnął mnie do współpracy z tą oficyną, która trwała 35 lat. Zaczynałem od prac graficznych, którymi zresztą dorabiałem sobie już wcześniej w Domu Książki, takich jak okładki, drobne ilustracje, panoramki. Moim pierwszym własnym opracowaniem dla SiT była książeczka o Żelazowej Woli. Włożyłem w nią ogromną pracę badawczą, która doprowadziła mnie do paru zaskakujących konkluzji: że Szopen urodził się innego dnia, niż podają książki, że stało się to być może w innym domu, a już na pewno w innym pokoju, niż ten, w którym wisi tablica. Opisałem te odkrycia dość



ogłędnie, ale Towarzystwo im. Chopina, do którego należała Żelazowa Wola i inne placówki, wpisało książkę na indeks i zabroniło jej sprzedaży, ponieważ burzyła chopinowską legendę. Legenda jest mocniejsza od życia, a przynajmniej od historii.

Jeśli chodzi o tematykę górską, to moje pierwsze publikacje nie były przewodnikami, lecz tzw. monografiami dolin tatrzańskich. Podobnie jak przy Żelazowej Woli, studia biblioteczne i archiwalne zajęły mi po 1 1/2 roku. Mimo iż obie doliny były mi dobrze znane, konieczne było spędzenie w nich dłuższego czasu. A tu przy Pięciu Stawach wynikły perturbacje. Miałem wówczas na pieńku z władzami, nie miałem stałej pracy i żeby uzyskać konieczną wówczas przepustkę w Tatry musiałem wystąpić do Rady Narodowej. Czekałem na nią bite dwa miesiące – takie były czasy – opiewała na zaledwie sześć dni! Tyle musiało mi wystarczyć. Te dwie książki, pozytywnie przyjęte, zrobiły mi nazwisko. Potem przyszły sprawy przewodnikowe. Tu wejście na rynek

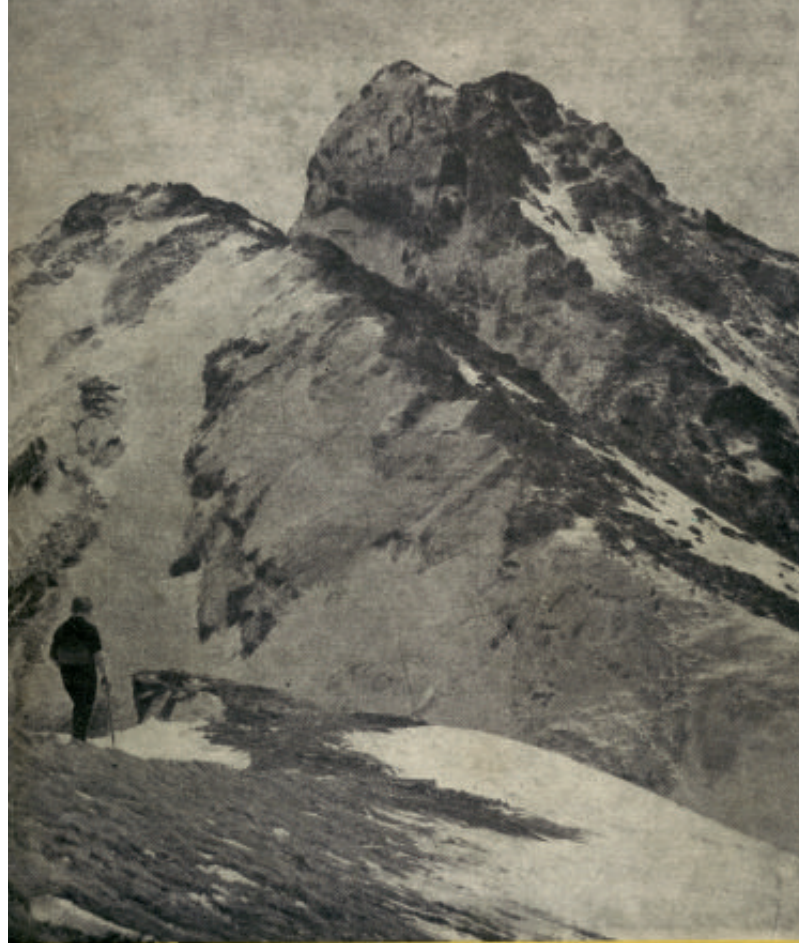
nie było łatwe: Tatry od wielu lat obsługiwał Tadeusz Zwoliński, Beskidy – Władysław Krygowski. Gdy Zwoliński umarł, wydawnictwu potrzebny był ktoś, kto jego przewodniki zaktualizuje. Od Zwolińskiego się zaczęło. W tym samym czasie zrobiłem dwa przewodniki własne i można powiedzieć pionierskie, gdyż chodziło o krainy, które dotąd osobnych przewodników w ogóle nie miały: Gorce i Pieniny. Duży nacisk położyłem na sprawy nazewnicze. W roku 1969 ukazały się moje „Tatry Polskie”, a w 1972 całe „Tatry” w jednym grubym tomie. Równolegle była praca nad innymi przewodnikami, szczególnie „Przewodnikiem po Polsce”, którego byłem współautorem. Najzabawniejszy przewodnik, jaki napisałem – a miał pięć wydań – to był „Fuehrer durch Südpolen und Szczecin”.

Od 1 lipca 1963 Klub Wysokogórski powierzył mi redagowanie „Taternika” wydawanego najpierw przez „Sport i Turystykę”, a od 1966 przez „Prasę Sportową” RSW „Prasa”. Tworzenie tego pisma przez 28 lat nie byłoby możliwe bez własnego gruntownego wejścia w taternictwo i alpinizm.

Redakcję „Taternika” objąłem po rezygnacji Witolda H. Paryskiego. Zaangażował mnie Zarząd Klubu Wysokogórskiego, doceniając moje doświadczenia dziennikarskie i udział przy powstawaniu „Burzy nad Alpami”. Była to moja pierwsza etatowa praca po 11 latach pracy dorywczej. Mimo niewielkiej pensji była to namiastka stabilizacji. Redakcja „Taternika” powróciła z Zakopanego do Warszawy, a jej siedzibą stało się nasze świeżo zasiedlone mieszkanie przy ulicy Nowosieleckiej 20, początkowo pozbawione nawet telefonu. Czulem onieśmienie, zostając następcą Witolda

Paryskiego i widząc swoje nazwisko w stopce tuż pod adnotacją „Rok założenia 1907”. Odkryłem zresztą ze zdziwieniem, że w roku 1907 Kazimierz Panek wraz ze swoimi współpracownikami oparł się na ukazującym się od końca XIX w. niemieckim „Österreichische Alpenzeitung”. Właściwie wszystko było skopiowane – winieta, układ graficzny, tytuły działów, podział na rubryki. Staralem się tego układu nie zmieniać, zachowując też informacyjny charakter pisma. Dbalem nie tylko o poziom merytoryczny, ale i o stronę graficzną, dobór zdjęć, jakość mapek i schematów dróg. W wypełnianiu treści zeszytów miałem wolną rękę, bo w redakcji byłem sam, nie licząc redaktora technicznego, sekretarki i korektorki. Stałym problemem był niedostatek miejsca. Trzeba było starannie wybierać tematy i mocno skracać materiały, by zamknąć się w czterech, a potem już tylko w dwóch zeszytach rocznie. Nakład przekraczał nawet 10 000 egzemplarzy, przy dużym znaczeniu prenumeraty i około 1500 egzemplarzach wysyłanych za granicę. Do przejścia na emeryturę w roku 1991 przygotowałem 81 zeszytów.

[Z listu do wnuczki Weroniki, 6 II 2020] „Taternik” to było pismo wydawane „państwowo”, ale drukowane bardzo ubogo. Ale mimo to zaliczało się do dziesięciu najważniejszych na świecie. W Anglii wychodził miesięcznik „Mountain”, chyba nr 1 na świecie. Otóż w tym piśmie w każdym numerze na pierwszej stronie była tabelka „Czołowe pisma górskie świata”. W tej tabelce był regularnie „Taternik”. To tak, żeby się pochwalić...



Taternik

3-4
1963



CZŁOWIEK INSTYTUCJA

W latach 1960–1990 byłem działaczem zarządów Klubu Wysokogórskiego i Polskiego Związku Alpinizmu, a także autorem „Biuletynu Informacyjnego” KW i PZA (1969–88) oraz wydawanego w języku angielskim biuletynu Komisji Wypraw UIAA „ExpeDoc” (1989–96). W latach 1963–1998 byłem korespondentem blisko 40 czasopism zagranicznych o profilu turystycznym i alpinistycznym.

[Z listu do Elizy Malawskiej-Kłusek, 2 II 2005] Jeśli chodzi o tzw. KDL-e, systematycznie współpracowałem z bułgarskim tygodnikiem „Echo” (1965–1996), z węgierskim „Hegymaszó”, niemieckim „Der Tourist”, czeskim „Hotejl”, słowackim „Iamesakiem”, radzieckimi „Westnikiem Gor” i „Pobieżdionnyje Wiersziny” – nie wszystkie pa-



miętam. W Jugosławii moje doniesienia ukazywały się w dzienniku „Delo” (licznie), w „Novicach”, w „Planinskim Vestniku”. Równolegle była współpraca amerykańskim „American Alpine Journal” i z czołowymi magazynami zachodnioeuropejskimi, wymienię „Mountain”, „Alpinismus”, „Der Bergsteiger”, „Die Alpen”, „Alp”, „Vertical”, „Montagnes”, „La Montagne”, „Penalarę”, baskijską „Pyre-naicę”. Lata współpracy z „Penalarą” przyniosły mi zaszczyt w postaci członkostwa honorowego Hiszpańskiego Królewskiego Tow. Alpejskiego, podobnie jak współpraca z indyjskimi „Himalayan Journal” i „Himavantą” członkostwo honorowe Himalayan Club. Mam też za sobą długie lata współpracy z japońskimi „Iwa to Yuki” i „Sangaku Nenkan” czy koreańskim „San Ak In”. W „Iwa to Yuki” miałem m.in. pod opieką całą pozaazjatycką biografistykę.

W latach 1980–2016 redagowałem i powieliałem własnym sumptem comiesięczną gazetkę „Głos Seniora”. Początkowo jej numery przepisywałem przez kalkę na maszynie i rozsyłałem na adresy przyjaciół. Począwszy od numeru 8/2000 „Głos Seniora” ukazywał się równolegle w nieco szerszej ilustracyjnie wersji internetowej, do internetu trafiły też numery starsze, począwszy od 1/1997. Kontynuacją „Głosu Seniora” jest internetowe pismo „Echo Gór”, prowadzone przez Anię Okopińską.

[Z wstępu do pożegnalnego numeru GS, 12/2016]
Wszystko się kiedyś kończy. Trzydzieści pięć lat minęło, jak jeden dzień... W r. 1990 odnotowaliśmy 10-lecie istnienia naszej minigazetki, w lipcu 2000 – 20-lecie. Jej 30. urodziny przegapiliśmy. Wyłoniła się ona kiedyś ze zbiorowych listów do weteranów klubowych. Korespondencja z biegiem lat nabrała cech biuletynu, w r. 1980 opatrzonego tytułem „Głos Seniora”, zrazu pomyślanym jako żart. Może był to zresztą rok 1981 albo zgola 1979? (...) Cały nakład (50 do 70 egzemplarzy) pisany był na tzw. „przebitce”, na starej „Erice” redaktora. Jedno przepisywanie dawało 7–8 kopii, kolejne rzuty prowadziły więc do zmian w tekście i wymiany notatek. Rozchodziły się wszystkie kopie, zdarzało się, że i archiwalna. Technika ksero pozwoliła zwiększyć nakłady, choć limitowały je fundusze wydawcy. Potem nastał druk komputerowy. Początkowo przeważał materiał o charakterze towarzyskim, wnet jednak górę wzięła skrótowna informacja alpinistyczna, pojawiały się też artykułiki, na które nie starczało miejsca w „Taterniku”. Od schyłku lat 80. GS ukazywał się co miesiąc. Rozprowadzany był nieodpłatnie. Staraniem Alka Lwowa, przez parę lat numery przedrukowywał wrocławski miesięcznik „Na szlaku”. Jako



wydawca długo figurowała Komisja Informacji PZA, w formule tej chodziło jednak tylko o wymóg Urzędu Kontroli Prasy: prywatne pismo w jawnym obiegu nie mogło się wówczas ukazywać. (...) Adresowany do grona seniorów KW, dzięki internetowi GS znajdował też młodszych czytelników, Andrzej Piekarczyk nazwał go „zwornikiem między pokoleniami”. (...) W „Głosie Seniora” pożegnałem większymi biogramami około 250 kolegów i przyjaciół – nie przypuszczałem, że zamknie ten poczet młodszy ode mnie o 13 lat Rysio Szafirski. (...) Ode mnie do wszystkich Sympatyków i Współpracowników raz jeszcze bardzo, bardzo gorące podziękowania za zainteresowanie gazetką i za ten 35-letni kawałek czasu wspólnie przeżyty już nie w górach, ale wciąż jeszcze w kręgu spraw górskich i ich magicznego medialnego promieniowania. Dzięki, 35-krotne dzięki!

W latach 1980–2021 przygotowałem ponad 60 zeszytów „Górskiej Biblioteczki Historycznej” (do roku 2005 pod nazwą „Biblioteczka historyczna Głosu Seniora”). Seria została pomyślana także jako prywatne wydawnictwo, rozsyłane przyjaciołom i bibliotekom. Część zeszytów ma znacznie szerszy krąg odbiorców, są udostępnione w internecie.

[Z listu do Tomasza Boruckiego, 4 XII 2018] Od miesiąca mam na wyclocie zeszycik „Panoramy Buchholtzów”, może zdołam go wypchnąć w przyszłym tygodniu. W zawarte w nim sprawy nazewnicze się nie wdaję, bo to temat na osobną dysertację, bez wątpienia arcyciekawą i czekającą na podjęcie. Od paru lat wisi w komputerze materiał o nazewnictwie Mięgoszowieckich Szczytów – coś 25 stron, trochę za dużo jak na objętości „Biblioteczki”, bo jeszcze muszą dojść ilustracje. Jest tam o tych nieszczęsnych „kopach”. Ostatnie tygodnie niespodzianie zajęły mi sprawy związane ze śmiercią Jurka Surdela, brata Żony. Żegnamy go zeszycikiem GBH nr 58 – wyślę go (już wysłałem) Panu do kompletu. Wczoraj przyszło z Jagiellonki podziękowanie za zeszyciki biblioteczki. Dziękuję za pośrednictwo – czuję się zaszczycony obecnością w tak szacownym księgozbiornie. Gaśnie mi to czynne oko, ale może zdążyć jeszcze wydrukować coś z tych brakujących Panu tytułów.

Kochani Nasi!

31 grudnia 2020

Łączymy się z Wami w ten ostatni dzień tak ładnie piszącego się 2020 roku. Żegnamy się z nim bez żalu, a nawet z pewną ulgą. W listopadzie zabrał mnie kochaną Siostrę Jadzię i w odstępie ledwie tygodnia Małgosi kochango brata bliźniaka Jaśka. Celemu światu przyniósł nieszczęście w postaci covida-19. Pomarły rzesze ludzi, zwłaszcza starszych, a wszyscy zobaczyli, że mimo niewiarygodnych osiągnięć techniki wciąż żyjemy – bo i zmiana klimatu – na łasce Przyrody. Były też pozytywne zdarzenia: 11 sierpnia maturzystami zostali Antoś i Marysia, w grudniu Weronika zrobiła z wynikiem "celująco" licencjat na slawistycę w Oslo i egzamin na stopień asystenta gramatyki (i dykcji) polskiej. A pamiętajmy, że cała jej edukacja była norweska – polskiej szkoły nie miała ani jednej godziny. Jaśka Kizskanta pożegnała Monika na naszej stronie w internecie <www.nyka.home.pl>.

Dziękujemy Wam z serca za Waszą pamięć o nas – maile, telefony, listy – za Waszą Przyjaźń i serdeczną Bliskość. W gromadce rażniej iść przez mroki uciekającego czasu. W Nowy Rok 2021 wchodzimy z nadzieją, że okaże się mniej okropny, od tego jaki nam prognozują wirusowi eksperci. Życzymy tego gorąco Wam, a i sobie. Niech życzliwe słonko przebiję wirusowe chmurzyska, niech pprzepędzi choroby i rozświećla nam swoim blaskiem nasze drogi przez ten zaczynający się rokcek

My z Klaudyny
Jożef N.



PRZYJACIÓŁKA ERIKA

[z listu do Antoniego Janika, 18 I 2013] Toni! Wspominasz maszyny do pisania. Jakie to były przyjaciółki i towarzyszki życia! Ja pisanie na maszynie opanowałem w wieku 12 lat na głębokiej wsi. Nasz wuj, Antoni Michalski, brat mojej babci Praksedy, był skromnym rolnikiem po czterech oddziałach powszechniaka, ale bardzo mądrym człowiekiem i ważną fiszą, bo posłem na sejm przez trzy kadencje. W jego łysinińskim dworku często przesiadywałem i pisałem na maszynie, która w saloniku miała swój stolik. Potem w wojennym „Hobagu” było kilka maszyn, ja pisałem na wielkiej Idealce. Była też pisząca dziewczyna Niemka Elfrieda, ale dyrektor wołał mnie dyktować, bo nie robiłem błędów. W 1950 roku przygotowywałem wystawę w budynku dawnego ZHP a wtedy ZMP czy jeszcze ZWM. W piwnicy była sterta około stu pokrytych kurzem zdezelowanych maszyn do pisania. Były to poniemieckie maszyny już z polskimi znakami. Nie wiem, jak można było w kilka powojennych lat zniszczyć taką ilość maszyn, bo były najdosłowniej zniszczone. Wybrałem sobie Erikę, bardzo sfatygowaną i niesprawną. Wyjąłem ją z pudełka, żeby weszła do teczki i by można ją było przenieść przez portiernię. W domu powiązałem ją drucikami, naoliwiłem i maszyna ruszyła. Służyła mi przez całe życie, na niej napisałem wszystkie swoje przewodniki i inne prace, mam ją jeszcze, jako wierną przyjaciółkę i cenną pamiątkę.

Pocziwa maszyna do pisania wyniesiona w teczce z piwnicznego cmentarzyska sprzętu biurowego. Przez cztery i pół dekady królowała niepodzielnie w kolejnych mieszkaniach, na Ludwiki, Nowosieleckiej i Klaudyny. W połowie lat dziewięćdziesiątych została jednak zdetronizowana. Jej właściciel, mimo siedmiu krzyżyków, przesiadł się do komputera i szybko został użytkownikiem internetu, poczty elektronicznej i cyfrowych bibliotek. Nowoczesne narzędzia pozwalały mu pracować i być w stałym kontakcie z innymi, gdy wycofał się z życia towarzyskiego, udziału w spotkaniach, zjazdach, festiwalach, a także przestał być stałym gościem bibliotek i archiwów.

W ostatnim czasie odsunięta od pracy Erika przemieszkiwała pod specjalistycznym łóżkiem naszego Tatka. Łóżkiem, na którym spędzał, ku swojej wielkiej rozpacz, coraz więcej czasu, dochodząc o balkoniku na krótkie sesje do komputera. Mimo tych ograniczeń do dnia wyjazdu do szpitala korespondował z przyjaciółmi. Jeszcze 12 lipca 2021 pisał do Małgosi Kielkowskiej: „Eter seniorski dziwie zamilkł w ostatnich miesiącach, w czerwcu miałem 12 maili, co pół roku temu było normą dzienną. Odzywa się Hania Wiktorowska, Marek Maluda, Jurek Wala. To i wszystko.” Zarośnięta kurzem Erika wynurzyła się z ukrycia, gdy trzeba było przenieść łóżko jej właściciela w inne miejsce mieszkania, po powrocie ze szpitala. Wydobyta na światło dzienne i doczyszczona, wróciła na biurko. Zostanie teraz z nami, by świadczyć o jego pracowitym życiu.



GŁOSY PRZYJACIOŁ

Był człowiekiem o ogromnej, niesamowitej wręcz erudycji, wypadłoby użyć nieużywanego dziś terminu – polihistorem, doskonale zorientowanym w rozległej, wielodyscyplinarnej wiedzy o górach, nie tylko zresztą polskich. W znacznej mierze była to wiedza prymarna, czerpana z autopsyjnej znajomości źródeł, które wyszukiwał i studiował w archiwach polskich i zagranicznych, poparta osobistą znajomością gór. Że zaś cechowała Go ogromna dobroć, nie skąpił tej swojej wiedzy innym. I nie mam tu na myśli Jego publikacji, ale fakt (a było ich wiele), iż szczerze, z oddaniem, dzielił się nią dosłownie z każdym, kto zwracał się do Niego o pomoc, bez względu na to, czy tego kogoś znał, czy nie. Dobroć, a zarazem niebywała skromność – to były cechy, które pięknie Go wyróżniały w naszym egoistycznym i egocentrycznym świecie. [Wiesław A. Wójcik, Kraków-Zakopane]

To szmat czasu – rok 1956, a może 1957 – Pierwsze spotkania w Moku i na Wancie. Posiady w Warszawie, w nykonyży na Ludwiku czy u Toczki. Pokoik w Kurniku, czy trójka w schronisku. Różnica generacji została prawie zatarta przez wspólne Tatry, ale czułem ją w respekcie, który miałem dla Józeczka – od początku do końca. Wspinacz wybitny, ale spełniał się górami także – a może głównie – inaczej: pisząc, redagując, rysując. Tysiące, dziesiątki tysięcy stron. A jeszcze listy. I paznokcie zniszczone chemikaliami z ciemni fotograficznej. W potężnej dłoni „prosto od pługa” zawsze mały notes. W kieszeni zawsze ołówek. Wszystko

wiedział, a jak nie wiedział to umiał znaleźć. Encyklopedia górska? Chyba parę encyklopedii. Otwarty na pomoc każdemu i zawsze. Nie wiesz? Zadzwoń do Józka. Pierwszy górski tekścik, który napisałem poprawiał mi w rękopisie przed odesłaniem do „Taternika”. Było to wspomnienie o Tomku Kreczmarze, który zginął pod Żabim. Tak to jest: od pożegnania do pożegnania. [Andrzej Paczkowski „Owieczka”, Warszawa]

Serdeczny przyjaciel Haliny i Antoniego Rząsów. Był nieocenionym wsparciem dla naszej rodziny w czasach radosnych, ale też w późniejszych, trudnych czasach choroby i umierania. Ukochany wujek Nyka, z którym Marcin poznał Tatry i piękno wędrowania. Do zobaczenia Wujku tam, gdzie nas jeszcze nie było! [Magda i Marcin Rząsowie, Galeria Antoniego Rząsy w Zakopanem]

Od moich pierwszych kroków w taternictwie AD 1970 był dla mnie autorytetem i wyrocznią w sprawach porzucania i opisywania spraw związanych z górami i wspinaniem. Można powiedzieć, że wychowywałem się i wzorowałem na Nyce. Powielalem Jego spojrzenie i reguły które propagował. I tak zapewne zostanie, chociaż Józka już nie ma... Mam w swoim archiwum korespondencję z Józkiem i liczne zeszyty historyczne opatrzone Jego dedykacjami. Zawsze stanowiły dla mnie powód do dumy, że Józek obdarza mnie swoją życzliwością. Teraz będą stanowić dla mnie najcenniejszą pamiątkę... Wszyscy ponieśliśmy ogromną stratę. Także, nie waham się tego powiedzieć, stratę poniosła polska kultura. [Wojciech Świącicki, Łódź]

Jest to dla mnie bardzo ciężkie przeżycie – mieć świadomość, że po dwudziestu latach tak intensywnej wymiany korespondencji i rozmów, nigdy już nie podyskutujemy nad tymi tak ważnymi dla Pani Taty latami. Jego uwagi, spostrzeżenia skrupulatnie przez lata gromadziłem i na pewno one nie przepadną, bo są skarbnicą wiedzy – tej prawdziwej – o tamtych czasach. Wydaje mi się, że Pani Ojciec zrobił dla historii oddziału „Lamparta” przez te ostatnie lata bardzo wiele i każdy kolejny badacz będzie musiał odnieść się do Jego refleksji i uwag. [Dawid Golik, Kraków]

4 września o godz. 21.00 w swoim domu w Warszawie zmarł Józef Nyka. Godzina była dobrze dobrana, bo trzeba się spakować i dojechać do schroniska, przespać się trochę, żeby móc zaatakować wczesnym rankiem. Józef był wspinałym Przyjacielem, był przyjacielem wszystkich wspinaczy z mojego pokolenia. Był naszym „Papą”. Był autorytetem moralnym i alpinistycznym jak Pierre Mazeaud. [Piotr Paćkowski, Francja]

Brak mi słów, aby wyrazić mój smutek i żal z powodu odejścia Józka, niezastąpionego przyjaciela i wielkiego mentora we wszystkich sprawach górskich, jakże zawsze życzliwego. Ja też wierzę, że po tamtej stronie grani, wolni od chorób i cierpienia, zabiorą się z Jasiem do intensywnej pracy. Na cmentarzu Janka w Hilden zapaliłam dzisiaj znicze również dla Józka. [Małgosia Kielkowska, Niemcy]

Trudno się pisze w takiej chwili, po stracie tak bliskiej mi Osoby. Dzisiejsza wiadomość poraziła mnie, bo do końca wierzyłem, że Pałuczanin, żołnierz AK i zdobywca wielkich

dróg w Tatrach i Dolomitach wyjdzie z tej nierównej walki zwycięsko. Stało się inaczej i pozostaje wielki żal i gorycz. Wizyty w gościnnym domu na Klaudyny, rozmowy, maile to była największa przygoda intelektualna w moim życiu. Byłem dumny jak paw, kiedy nazwał mnie swoim powiernikiem i przyjacielem. Nasza znajomość trwała bez mała 17 lat i mogę stwierdzić, że od tej pory był mi kompasem, nie tylko w górskich sferach mojej egzystencji. [Marek Maluda, Poznań]

Któryś z Jego towarzyszy broni mógłby mu teraz zanucić: „Śpij Kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni Tobie” – w szczególności ukochane Gorce i Tatry, na których partyzanckich ścieżkach zaczęła się jego fascynacja Górami. Był jednak ostatnim z „leśnych chłopców” od „Lamparta”. Był również ostatnim z wielkich polskich góroznawców (w skali światowej) a zarazem ostatnim z triady prawdziwie wielkich tatrologów stuleci XX/XXI. Dla mnie osobiście był też ostatnim z Mistrzów z pokoleń przed- i po- „kolumbowych”. [Tomasz Borucki, Kraków]

Zawsze będę w pamięci miał naszą wspólną współpracę w „Taterniku”, w przygotowaniu do druku i wydaniu mapy Karakoram 1:25 000 i potem mapy Mount Everestu 1:50 000 i tyle innych wspólnych działań. Długie telefoniczne rozmowy z Józkiem do ostatnich miesięcy jego życia zawsze mnie cieszyły i na pewno będzie ich mi brakowało. Pamiętam także nasze spotkania w Komitecie Redakcyjnym Wierchów, a także pobyt u Was w dniu ogłoszenia Stanu Wojennego i spotkanie wówczas z Hiebelerem. [Jerzy Wala, Kraków]

To był NASZ JÓZEK. Promieniował w PZA wiedzą, przyjaźnią, pomocą. Wzbudzał szacunek, poważanie. Pozostał żal. [Ryszard Dmoch, Warszawa]

Był Wspaniałym, Dobrym, Mądrym Człowiekiem, wybitnym znawcą wielorakich spraw górskich, znakomitym historykiem Tatr, taternictwa i alpinizmu. Ceniąc jego przewodnikopisarstwo, podkreślić trzeba znaczenie jego wspaniałych „Gorców”, jego tatrzańskich monografii i wspaniałej „Biblioteczki Historycznej Głosu Seniora”, która zresztą sama w sobie miała ogromną wartość. Ci, którzy mieli szczęście z Nim korespondować, wiedzą, że był wspaniałym stylistą, piszącym pięknym językiem. [profesor Jacek Kolbuszewski, Wrocław]

Był gigantem. Nie tylko piśmiennictwa i taternictwa, ale i wiadomości, wiedzy, rozeznania, języka, kontaktów międzynarodowych, łączności między pokoleniami ludzi gór. Życzliwym gigantem. [Grzegorz Głazek, Warszawa]



Niezmiernie wzruszające są te głosy przyjaciół. Ale na koniec, żeby nieco osłabić siłę oddziaływania tylu pochwał (znany ze skromności główny bohater byłby co najmniej zakłopotany) autentyczna anegdota, którą Bartek Dobroch zakończył swój panoramiczny artykuł o Nyce zamieszczony na łamach „Tygodnika Powszechnego”:

„13 lat temu zadzwonił dziś już nieżyjący, znany historyk sportu przygotowujący książkę o dziennikarzach sportowych. – Nazywam się Bogdan Tuszyński, czy rozmawiam z redaktorem „Taternika”? – Nie całkiem, bo z byłym redaktorem. – Ale może będzie mi pan w stanie pomóc? Nie mogę ustalić, kiedy zmarł Józef Nyka. – Dobrze pan trafił, bo właśnie pan z nieboszczykiem rozmawia.”

Rzeczywiście ta rozmowa miała miejsce. Bardzo skonfundowany swoją niezręcznością Bogdan Tuszyński poprosił rozmówcę, by on sam zreagował swoje hasło do leksykonu „Bardowie sportu”. Przesyłając gotowy biogram w maju 2008 roku żartowniś Nyka napisał:

„Drogi Panie Bogdanie! Czuję się ogromnie zaszczycony kącikiem w Pana na pewno znakomitej książce. Materiał rozszerzyłem nadmiernie, będzie z czego wybrać. Po ukazaniu się książki proszę nie zapomnieć o poinformowaniu wszystkich zainteresowanych (oprócz tych na Bródnie i na Powązkach), gdzie i w jakim trybie dzieło można nabyć.”

Przewrotnym zrządzeniem losu od dziś obaj bohaterowie tej anegdoty będą zgodnie spoczywali na jednym cmentarzu, na Powązkach Wojskowych...



Redakcja i część tekstów: Monika Nyczanka,
tel. 600 722 401, e-mail monika.nyka@home.pl
Opracowanie graficzne: Stefan Nyka, e-mail stefan@nyka.pl
Wydawnictwo okolicznościowe.
Powielanie lub przedruk objęte są copyrightem.

Zdjęcia: I strona okładki: Józef Nyka w Tatrach, 1949 r., wycieczka z bratem Walkiem i kuzynem Józefem Kopczyńskim (później wybitnym rzeźbiarzem). Archiwum rodzinne; **II strona okładki:** Nie tylko przewodniki... 7 XII 2014, 90-te urodziny Józefa Nyki. Jubilat w otoczeniu wnuków. Od lewej: Marysia, Antek, Jofrid (Junia), Weronika, Fransis, Mila, Janek, Zosia i Iga. Fot. Monika Nyczanka; **s. 2:** Małgorzata Surdel i Józef Nyka około roku 1960. Fot. Halina Vogel (Rząsowa). Dziękujemy za udostępnienie zdjęcia Magdzie i Marcinowi Rząsom; **s. 5:** Józef Nyka z córką Moniką, Brzozowice-Kamień, 1962 r. Fot. Małgorzata Surdel-Nykowa; **s. 7:** 1930 r., wizyta w domu babci w Komratowie. Pierwszy z lewej Stefan Nyka (ojciec). Na żelaznym pługu dzieci – Jadzia, Józek i Janek. Stoją ciocia Micia, czyli Emilia Maciejewska (Busse), służąca Genia, babcia Walentyna z Bończa-Tomaszewskich Maciejewska, wuj Janek Maciejewski i Maria z Maciejewskich Nykowa (matka). Archiwum rodzinne; **s. 8:** 1941 r., rodzeństwo z Lysinina w Czarnym Dunajcu: Jadzia, Walek, Janek i Józek. Fot. Andrzej Goc; **s. 9:** Józef Nyka, Stare Bystre, 1942 r. Archiwum rodzinne; **s. 10:** St. strzelec Józef Nyka „Szpis” przed partyzancką kwaterą zimą 1944/45. Archiwum rodzinne; **s. 11:** Lato 1940, rodzinna wycieczka, zapewne ta, podczas której Janek i Józek schodzili z Giewontu jego pn. ścianą. Pod pomnikiem Chałubińskiego pozuje cała rodzina: Stefan i Maria Nykowie, Jadzia, Walek, Janek i Józek (z teczką). Archiwum rodzinne; **s. 12:** Kartka z partyzanckiego pamiętnika Józefa Nyki „Szpisa”, grudzień 1944, Dol. Chochołowska; **s. 13:** Luźna kartka z zapiskami Józefa Nyki z 30 sierpnia 1942, opis eksterminacji Żydów; **s. 14:** Krzyż Bończa-Tomaszewski na dębach w Lasku Bielańskim, maj 1959. Fot. Józef Nyka; **s. 15:** Józef Nyka w Warszawie, okres studiów. Archiwum rodzinne; **s. 16:** Józef Nyka z przyjacielem Kazimierzem (Kajem) Piwkowskim, okres studiów w Warszawie. Archiwum rodzinne; **s. 17:** Józef Nyka z Grażyną Niemczynow (później Burchart) na spacerze w Warszawie. Archiwum rodzinne; **s. 18:** Małgorzata Surdel i Józef Nyka. Archiwum rodzinne; **s. 22:** Jesień 1978. Od lewej: Zdzisław Dziędzielewicz-Kirkin, Józef Nyka i Jan Sawicki. Archiwum rodzinne; **s. 24:** Komitet redakcyjny „Wierchów” podczas wycieczki terenowej na Orawie; **s. 25:** Okładka „Taternika” 3-4/1963, pierwszy zeszyt zredagowany przez Józefa Nykę; **s. 26:** Kinga Baranowska i Józef Nyka po dekoracji w Pałacu Prezydenckim, 3 VI 2015. Fot. Monika Nyczanka; **s. 27:** Andrzej Wilczkowski i Józef Nyka; **s. 27:** Listopad 1981, spotkanie na Klaudyny w Warszawie. Od lewej: Janusz Kurczab, Zbigniew Kowalewski, Adam H. Carter, Andrzej Zawada, Józef Nyka. Archiwum rodzinne; **s. 28:** 3 czerwca 2015, po dekoracji Krzyżem Oficerskim OOP w Pałacu Prezydenckim, Prof. Roman Kuźniar, Józef Nyka, Anna Komorowska, Bronisław Komorowski; **s. 30:** 5 IX 2021, Erika na biurku Józefa Nyki. Fot. Jan Nyka; **s. 32:** Józef Nyka ok. 1960 r. w Tatrach. Fot. Halina Vogel (Rząsowa). Dziękujemy za udostępnienie Magdzie i Marcinowi Rząsom; **s. 35:** W drodze na Małego Młynarza. Od lewej Maciek Gryczyński, Jerzy Czerczuk i Józef Nyka. Fot. Adam Szurek; **s. 36:** Józef Nyka, 1960, Gorce. Fot. Małgorzata Surdel; **IV strona okładki:** Józef Nyka (pierwszy z lewej), drugi Janusz Vogel. Lata 50-te. Fot. Halina Vogel (Rząsowa). Dziękujemy za udostępnienie Magdzie i Marcinowi Rząsom.

PODZIĘKOWANIE

Z całego serca dziękujemy ludziom w białych fartuchach, którzy ostatnio ratowali zdrowie i życie naszego Męża, Ojca i Dziadka.

Troskliwą opieką otoczył go w lutym 2019 personel medyczny Oddziału Zakażeń Narządów Ruchu Wojskowego Instytut Medycznego na Szaserów. Dzięki wysiłkom kierującego oddziałem doktora Macieja Koselaka Tata wrócił do zdrowia.

Chcemy bardzo podziękować lekarzom, którzy w listopadzie 2020 w Narodowym Instytucie Serca w Aninie wszczepili Ojcu rozrusznik serca, a szczególnie wykonującemu zabieg profesorowi Maciejowi Sterlińskiemu, lekarzom Olgierdowi Woźniakowi i Jerzemu Pręgowskiemu, oraz paniom pielęgniarkom.

Nisko się kłaniamy wszystkim pracownikom Oddziału Hematologii Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego WUM na Banacha, którzy latem tego roku przez wiele tygodni ratowali życie Ojca, w tym profesorowi Grzegorzowi Basakowi, Jarosławowi Bilińskiemu, Magdalenie Małek, fizjoterapeucie Maciejowi Koktyszowi, a także paniom pielęgniarkom i opiekunom.

Szczególny dług wdzięczności zaciągnęliśmy wobec doktora Błażeja Izdebskiego, który w Klinice na Banacha bezpośrednio nadzorował leczenie Taty. Jego zaangażowanie, jego nocne warty przy łóżku chorego i wielkie serce pozostaną nam na zawsze w pamięci.

Niezwykłego wsparcia udzielała nam należąca do rodziny profesor Katarzyna Biernacka, Anioł Opiekuńczy Taty. Mogliśmy liczyć na jej rady i pomoc w każdej, najtrudniejszej nawet sytuacji. Swoją wiedzą lekarską służył nam też przyjaciel domu, doktor Lech Korniszewski.

Skuteczne wsparcie otrzymaliśmy w ostatnich dniach życia Taty ze strony lekarki rodzinnej, doktor Małgorzaty Koźbiał, a także doktor Anny Gruźlewskiej oraz pań pielęgniarek – Iwony Rosy i Katarzyny Kwiatkowskiej z bieleńskiego Archidiecezjalnego Hospicjum Domowego.

*Małgorzata Surdel-Nykowa
z dziećmi i wnukami*

